

# ZAGINIONA PACJENTKA



Alicja Horn

ZAGINIONA  
PACJENTKA



Copyright © by Alicja Horn, 2024

Copyright © for this edition by Faros Wydawnictwo

Warszawa 2024

*All rights reserved*

ISBN 978-83-970952-1-2

## ROZDZIAŁ 1

Konrad Banach uwielbiał pracować z domu, dzięki czemu nie musiał wdawać się w relacje ze współpracownikami. Nie był chorobliwym odludkiem, po prostu nie szukał na siłę kontaktu z innymi. Od czasu rezydentury nie nawiązał z nikim trwałej przyjaźni i spotykał się głównie z ludźmi, których znał już wcześniej. W poznawaniu nowych osób przeszkadzał mu przede wszystkim fakt, że uważał większość z nich za skończonych idiotów.

Monitory i cała reszta sprzętu rozstawione były na blacie przedwojennego biurka, które – jak zwykł opowiadać – odziedziczył po dziadku. Tak naprawdę biurko kupił razem z mieszkaniem. Było zbyt duże i ciężkie, aby spadkobiercom poprzedniego właściciela chciało się je targać z czwartego piętra kamienicy, tym bardziej, że nie zmieściłoby się do windy. Dla własnej wygody postanowili zostawić je tam, gdzie stało. Lubił dni, w które mógł zasiąść przy grubym, drewnianym blacie z wielkim kubkiem parującej kawy i pracować w spokoju, bez konieczności rozmawiania z kolegami

lub pacjentami. Być może biurko służyło niegdyś do twórczych celów, zważywszy na fakt, że zmarły właściciel mieszkania był kompozytorem, jednak teraz kreatywność musiała ustąpić miejsca dokładności. Obrazy, które przesuwaly się na ekranach stacji opisowej wymagały dużego skupienia i wiedzy, wyobraźnia przydawała się Banachowi jedynie z rzadka.

Dziś był dzień szpitalny, co wiązało się z pewnymi niedogodnościami, na przykład takimi, że opisywał dziesiątą z kolei klatkę piersiową. Jęknął, gdy otrzymał jedenastą. Jego praca, mimo niewątpliwych zalet, miała także wady – bywała potwornie monotonna. Dlatego ucieszył się, gdy usłyszał ostrzegawcze „piknięcie”. Oznaczało, że nadchodziły zdjęcia *citowe*, do pilnego opisu. Istniała szansa na odmianę.

Pierwszy rentgenogram przedstawiał lewą kończynę górną. Z wywiadu dołączonego do skierowania wynikało, że pacjentką była młoda kobieta po wypadku komunikacyjnym. Struktury anatomiczne pozostawały nieuszkodzone, ale zdjęcie zainteresowało Konrada z innego powodu. Sięgnął po telefon.

– Cześć, Wilku – przywitał technika, który je wykonywał. – Mógłbyś powiedzieć mi coś o tej pacjentce, którą mi właśnie przysłaliście?

– Sorry, Konrad, nie pomogę. Przywieźli ją z SOR-u, wiem tyle co napisali w skierowaniu. Jest po wypadku,

ale generalnie w dobrym stanie. Boli ją lewa ręka, ale rusza nią sprawnie.

– Chodzi mi o coś innego... Czy ona nadal u was jest?

– Tak, właśnie się ubiera. Samodzielnie, więc tak jak mówiłem...

– Mógłbyś spytać ją, czy ma coś pod skórą? – przerwał mu Konrad. – Jakies ciało obce?

– Ciało obce? – zdziwił się technik.

– Obejrzyj jej lewe ramię, dobrze? Coś dziwnego wi-  
dać na zdjęciu, nie potrafię tego zinterpretować.

– Poczekaj. Zaraz oddzwonię. – Filip Wilk był jedną z niewielu osób, z którymi Konrad utrzymywał bliższe relacje. Poza pracą spotykali się od czasu do czasu przy piwie i wysyłali sobie świąteczne życzenia. W skali zażyłości, jaką posługiwał się Konrad, można powiedzieć, że byli prawie przyjaciółmi.

Telefon zawibrował po kilku minutach.

– Nie ma nic w tkankach miękkich, wymacałem dokładnie – Filip przeszedł do rzeczy. – Zresztą sama też zaprzecza, że ma jakies ciało obce. Za to ma w tym miejscu tatuaż.

– Tatuaż? – powtórzył ze zdziwieniem Konrad.

– Tak, wielkiego motyla. Zrobiłem zdjęcia, zaraz ci prześlę.

– To bez sensu, tatuaże nie wychodzą na rentgeno-  
gramach.

– Może akurat ten wyszedł.

– Mało prawdopodobne. Zresztą ta struktura nie przypomina kształtem motyla, raczej oko. Chyba oko. Nie jest zbyt wyraźna, nie mam pewności.

– Konrad, przykro mi, ale nie mogę się tym dłużej zajmować. Mamy tu dzisiaj straszy młyn, cała poczekalnia ludzi. Muszę wracać do pracy...

– No jasne. Mówię w sumie sam do siebie, próbuję zebrać myśli.

– Piątek aktualny?

– Pewnie. Widzimy się o osiemnastej, tam gdzie zawsze.

– Tam gdzie zawsze, stary. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Konrad nie zdążył odłożyć telefonu, kiedy ten zawibrował. Nadchodziły zdjęcia zrobione przez Filipa. Przedstawiały tatuaż pod różnymi kątami, w kilku zbliżeniach. Ostre, wyraźne. Wilku profesjonalny jak zawsze, pomyślał Banach.

Motyl był duży, kolorowy i miał skrzydła, których żaden przedstawiciel *Lepidoptera* nie mógłby mieć w naturze. A w każdym razie nie byłby w stanie latać, gdyby natura w chwili słabości postanowiła go nimi obdarzyć. Artysta, który wykonywał projekt nie był może ekspertem w zakresie biologii czy fizyki, za to na pewno nie brakowało mu fantazji.



Niestety, żadna z finezyjnie wygiętych linii nie pasowała do cienia na rentgenogramie. Dziwny kształt wzbudzał w Konradzie niepokój. Irracjonalne uczucie, skoro nie wiadomo było, co konkretnie przedstawiał. Oko... Może i oko. A może nie. Zdeformowane oko...

Dźwięki stacji opisowej wyrwały Konrada z zamyślenia, przypominając mu o stale napływających zdjęciach. Miał dużo pracy, nie mógł ślęczyć w nieskończoność nad tym jednym, nawet jeśli nie udało mu się rozwiązać zagadki. Opisał lakonicznie, co widział i pozostawił problem interpretacji klinicyście. Dodatkowo zapisał plik w prywatnej chmurze (czego nie wolno było mu robić), postanawiając wrócić do niego w wolnym czasie. W ostateczności pozostawało mu zajrzeć do dokumentacji pacjentki, żeby sprawdzić, co ustalił lekarz, który ją badał.

Wilku miał rację, ten dzień był wyjątkowo pracowity, Banach wyłączył monitory dopiero po siedemnastej.

O siedemnastej trzydzieści zrzucił dres, w którym pracował cały dzień, założył mniej wygodne, za to bardziej wyjściowe ubranie i wyszedł z domu.

W sklepie za rogiem mocował się przez chwilę z pizzą, aż w końcu udało mu się wyjąć ją z zamrażarki. Do koszyka dorzucił keczup. Za zakupy zapłacił kasjerowi, choć kasa samoobsługowa stała pusta, a potem dumny z siebie ruszył do domu. W mieszkaniu na powrót

przebrał się w stary dres, a potem wsadził pizzę do piekarnika.

Ubierał się niemal odświętnie przy każdym wyjściu z domu, nawet wtedy, gdy wychodził tylko po chleb. Wiedział, że szanse na spotkanie kogoś znajomego były bliskie zeru, a na dres nikt obcy nie zwróciłby uwagi, jednak czuł wewnętrzny przymus, żeby w miejscach publicznych nie wyglądać jak łajza. Jego praca stwarzała duże ryzyko gnuśnienia i popadania w niechlujstwo. Musiał się pilnować.

Zjadł pizzę z szynką i ananasem, obficie polaną keczupem, oglądając przy tym odcinek ulubionego serialu, a następnie ponownie uruchomił komputer. Sprawa tajemniczego kształtu na rentgenogramie nie dawała mu spokoju i choć początkowo zamierzał zająć się nią ponownie dopiero jutro, to jednak zmienił zdanie. Nie był w stanie czekać tak długo.

Im intensywniej wpatrywał się w zdjęcie, tym więcej nachodziło go wątpliwości. To, co początkowo wziął za oko, mogło być w zasadzie wszystkim. Łodzią, fragmentem ptaka, figurą geometryczną... Obły kształt rozmywał się na tle struktur anatomicznych ręki, nastroczając mu problemów z interpretacją. Zaczął obracać obraz na wszystkie strony, próbując zbadać, jak wpływanie na niego zmiana kąta nachylenia, ale nie uzyskał dobrych efektów. Poeksperymentował z kontrastem,

na przemian zwiększając go i zmniejszając. W końcu otrzymał rezultat, który go zadowolił, ale i zaskoczył. Przez chwilę siedział nieruchomo, nie oddychając i nie spuszczać wzroku z ekranu. Poczuł, jak zaczyna ogarniać go znajome uczucie paniki.

Bez wątpienia było to oko.

Z zamyślenia brutalnie wyrwało go pukanie, ktoś głośno i rytmicznie dobijał się do drzwi. To mogła być tylko jedna osoba. Szybko zamknął plik ze zdjęciem i wyłączył stację opisową.

– Usłyszałem, że jesteś w domu i postanowiłem sprawdzić co u ciebie słyhać – oznajmił na powitanie Piotr Kępiński, pakując się do środka bez zaproszenia. Dobrze wiedział, że nie potrzebował żadnego zaproszenia. – Co tu tak śmierdzi? – zapytał, pociągając nosem. – Przypaliłeś coś?

– Pizzę. Ale nie za bardzo, dało się zjeść. Z keczupem wszystko da się zjeść.

– Wiadomo – Kępiński przytaknął ze zrozumieniem. On również mieszkał sam i żywił się półproduktami. – Skończyłeś robotę?

– Tak, na dzisiaj koniec.

– Chcesz wyjść na miasto?

– Niespecjalnie.

– To może coś obejrzymy? Albo w coś zagramy? – Podniósł pada, który leżał na kanapie.

- Może jutro. Nie dzisiaj.
- Coś się stało?
- Nie, po prostu miałem dużo roboty. Dopiero wstałem od komputera. – Konrad chciał zostać sam i wrócić do sprawy dziwnego tatuażu.
- Tym bardziej powinieneś wyjść na miasto. Przewietrzyć głowę.
- To miasto mnie przytłacza. Jest małe jak wieś.
- To przytłacza cię, czy jest małe jak wieś? Zdecyduj się.
- Przytłacza mnie tym, że jest małe jak wieś. Wszędzie już byłem, nic nie może mnie zaskoczyć.
- Warszawa? Co ty opowiadasz. Jest pełno miejsc, w których na pewno nie byłeś.
- Wymień trzy. I proszę, żadnych badziewnych knajp, w których serwuje się na śniadanie drożdżówki po dwadzieścia złotych, przy wspólnych stołach, ustawionych metr od torów tramwajowych.
- Eee... – Kępiński otworzył usta.
- Dobra, nieważne – przerwał Banach. – I tak nie chce mi się dzisiaj nigdzie wychodzić.
- Dlaczego mam wrażenie, że jednak coś się stało? – spytał podejrzliwie Kępiński.
- Powiedz mi, Piotr... Czy ty nigdy nie miałeś ochoty wyjechać stąd gdzieś daleko? Zacząć wszystko od nowa? Zostawić problemy za sobą?

– Większość dorosłych ludzi nie zostawia problemów za sobą, tylko je rozwiązuje. Są też tacy, którzy ciągną je jak ogon wszędzie tam, gdzie się pojawiają.

– Mówisz o mnie? Myślisz, że ciągnę za sobą problemy?

Kępiński zmarszczył czoło. Byli przyjaciółmi jeszcze z dawnych czasów. Przypadek połączył ich pierwszego dnia, gdy przyjechali do Warszawy, żeby studiować medycynę, umieszczając ich w tym samym pokoju obok akademika. Pozostali współlokatorami przez sześć lat, a kiedy ich ścieżki zawodowe rozeszły się, prywatne nadal biegły jednym torem. Ich przyjaźń była tak silna, że kiedy sąsiad Piotra zmarł, a rodzina wystawiła na sprzedaż mieszkanie położone piętro wyżej, Konrad bez wahania kupił je, bez targowania. Tym sposobem od kilku lat znów mieszkali praktycznie razem, przedzieleni jedynie stropem.

– Chcesz ze mną o czymś porozmawiać?

– Już mówiłem, że nie.

– Jak sobie życzysz... Wiesz, nie chcę cię do niczego zmuszać, ale ja naprawdę potrzebuję wyjść z domu – oznajmił Kępiński. – Miałem kiepski dzień, posiedziałbym nad Wisłą, posłuchał muzyki... A nie chcę być sam. Nie poszedłbyś ze mną? – To była prawda, miał zły dzień i marzył o tym, żeby napić się piwa, ale z domu chciał wyjść głównie ze względu na przyjaciela. Znał

Konrada i wiedział, kiedy ten potrzebował wsparcia, potrafił go również udzielać. Kiedy na ostatnie urodziny kupił mu koszulkę z napisem „Wysoko funkcjonujący introwertyk”, Konrad początkowo ją wyśmiał. Potem jednak nosił ją przy byle okazji; widać było, że prezent sprawił mu przyjemność. Nie miało znaczenia, że Konrad nie był introwertykiem, a w każdym razie nie do końca. Był przede wszystkim złośliwym dupkiem, jak każdy, nad kim w dzieciństwie znęcali się rówieśnicy, a kto wyrasta na dorosłego, od którego coś zależy. Miał przy tym również cały szereg poważniejszych problemów, będących konsekwencją niewłaściwych wyborów, dokonanych u progu dorosłości. Ale, mimo drobnych zastrzeżeń, Piotr musiał przyznać, że Banach się starał. Na przykład nie zrobił nory z własnego mieszkania i nie zahibernował się w nim jak niedźwiedź na zimę, co wcale nie było rzadkością w przypadku samotnych radiologów lub informatyków. – Naprawdę cię proszę, potrzebuję z kimś pogadać.

– Niech zgadnę, znowu ta Wolska? – bardziej stwierdził niż spytał Banach. Problemy miłosne Kępińskiego ciągnęły się od lat. Piotr zakochał się w koleżance z pracy, również lekarce i łudził się nadzieją, że pewnego dnia dziewczyna odwzajemni uczucie. Było to dziecinne, naiwne i tym bardziej nieracjonalne, gdyż wielka miłość Kępińskiego miała już męża.

– Tak – przytaknął Piotr. – Wiesz jak jest... – Zrobił zbolaną minę, choć tak naprawdę w kwestii Marty Wolskiej sprawy przybierały akurat optymistyczny obrót. Przed paroma godzinami dowiedział się, że jej małżeństwo znowu przechodziło kryzys. Miał nadzieję, że tym razem ostateczny. Nigdy nie wątpił w taki przebieg zdarzeń, przewidział to już na ich ślubie. Ten buc nie był jej wart. Zupełnie nie rozumiał, co takiego w nim widziała, w tym nadętym i pewnym siebie bubku. Na szczęście wyglądało na to, że już wkrótce będzie miał go z głowy.

Przyszedł tu, aby podzielić się tą nowiną z przyjacielem, ale na razie musiał z tym zaczekać. Kiedy Konrad zachowywał się tak jak dziś, należało skupić się tylko na nim, cała reszta spraw była w tej chwili mniej ważna. Wiedział, że przeszłość Banacha potrafiła dawać o sobie znać w najmniej spodziewanych momentach. A zresztą, czyja nie potrafiła... W każdym razie nie mógł dopuścić do tego, by dawała znać zbyt głośno.

– Stary, tyle razy ci mówiłem, żebyś dał sobie z nią spokój. Nie jest tego warta. – Banach klepnął Piotra w plecy. – Zbieraj się, wychodzimy. Idziemy na barcę, dzisiaj ja stawiam. Musimy wreszcie znaleźć ci jakąś miłą, normalną dziewczynę.

## ROZDZIAŁ 2

Mężczyzna w dzinsach i białym polo mocował się z lampą, która nie chciała zmieścić się do ładowni granatowej furgonetki, zaparkowanej przy krawężniku. Samochód po brzegi wypakowany był meblami, a sytuacji nie ułatwiał fakt, że mężczyzna miał lewą rękę na temblaku. Ulica o tej porze była prawie pusta i mężczyzna ucieszył się, kiedy zauważył przechodzącą obok młodą kobietę.

– Przepraszam – zwrócił się do niej. – Czy mogłaby mi pani pomóc? Przeprowadzam się, a brat, który mi w tym pomagał musiał właśnie pojechać do szpitala. Żona mu rodzi, pierwsze dziecko, rozumie pani... Do zapakowania została mi tylko ta lampa, męczę się z nią od kwadransa. Czy mogłaby pani wejść do środka i wsadzić ją do tamtego pudła?

– No wie pan, sama nie wiem ... – zawahała się kobieta.

– Bardzo proszę. To wczesna secesja, jeszcze po prababci. Chciałbym przewieźć ją bezpiecznie, rozbije się, jeśli jej odpowiednio nie zabezpieczę.



– W normalnych okolicznościach bym panu pomogła, tylko że wie pan, miałam dziś zwariowany dzień – zaczęła usprawiedliwiać się kobieta. – Ktoś potrącił mnie i uciekł z miejsca wypadku. Właśnie sama wyszłam ze szpitala. Trochę kręci mi się w głowie i boli mnie ręka, nie wiem, czy dam radę wdrapać się do środka. To wysoki samochód. Może poprosi pan kogoś innego?

– Bardzo mi przykro. Łączę się z panią w bólu, wiem przez co pani przeszła. – Mężczyzna wskazał zdrową ręką na swój temblak. – Dwa dni temu najechał na mnie rowerzysta, na chodniku. Też zwiął. Co to się z tym światem porobiło. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Poprosiłbym kogoś innego, ale nikogo tu oprócz pani nie ma. – Oboje rozejrzeli się po pustej ulicy. – Naprawdę bardzo panią proszę. Spieszę się, mam dziś wizytę kontrolną u ortopedy. A wie pani, jak ciężko z tymi wizytami. Nie wiem co zrobię, jeśli mi przepadnie. Bardzo proszę!

– No dobrze – zgodziła się niechętnie kobieta. – Tylko proszę mnie asekurować, gdyby zakręciło mi się w głowie. – Syknęła z bólu, wspinając się z widocznym wysiłkiem do wnętrza furgonetki. – Udało się. Niech mi pan poda lampę. Gdzie jest to pudełko? – Odwróciła się w stronę mężczyzny i ze zdziwieniem zauważyła, że temblak znikł, a obie ręce mężczyzny były w pełni sprawne. W prawej trzymał strzykawkę z igłą.

– Co jest... – zaczęła, ale nie dokończyła. Poczuła ukłucie i wkrótce po tym wszystko znikło. Mężczyzna, samochód, ulica, a także porzucona przy krawężniku lampa.

Mężczyzna sprawnie wskoczył do wnętrza furgonetki, otworzył stojący w środku tapczan i bez problemu wepchnął dziewczynę do pojemnika na pościel. Nie ważyła więcej niż sześćdziesiąt kilo, w przeszłości radził już sobie z cięższymi. Zabezpieczył kocami głowę i ułożył ją tak, żeby się nie udusiła. Nie mogło się jej przytrafić nic złego, była zbyt cenna. Miał dostarczyć ją w jednym kawałku i tak właśnie zrobi. Mogli na niego liczyć. Zamknął tapczan i przesunął go w głąb ładowni, na jego miejscu umieszczając fotele i krzesła. Na wypadek kontroli drogowej lub innych nieprzewidzianych zdarzeń mógł spokojnie pokazać ładunek. Nie miał nic do ukrycia.

Zamknął drzwi ładowni, otrzepał ręce i zasiadł za kierownicą furgonetki. Naprawiał robotę spapraną przez innych, tym właśnie się zajmował. Dziewczyna już dawno powinna była trafić tam, gdzie jej oczekiwano, tymczasem włóczyła się po szpitalach. Był to kolejny błąd, który mógł ich słono kosztować. Ich, nie jego. On zarabiał na cudzych błędach, dlatego wcale się nimi nie przejmował. Zresztą doświadczenie nauczyło go, że nie było takich błędów, których nie dałoby się naprawić. Wszystko sprowadzało się do sposobu lub ceny.

A ci, którym dziewczyna była potrzebna, mieli dużo pieniędzy. Bardzo dużo.

Wyjął komórkę i wybrał numer.

– Załatwione. Dostawa w drodze – oznajmił i rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

Włączył radio i przy dźwiękach *Jolene Dolly Parton* ruszył na północ.

## ROZDZIAŁ 3

Przez kilka dni w tygodniu Konrad Banach pracował w przychodni. Od godziny ósmej do trzynastej lub od czternastej do dwudziestej wykonywał badania USG, głównie brzucha oraz tarczycy, odpowiadając przy tym na pytania pacjentów, nawet te najbardziej absurdalne. Nienawidził tych dni. Gdyby to od niego zależało, pracowałby wyłącznie zdalnie, opisując na komputerze zdjęcia wykonane przez techników w szpitalu. Było to jednak niemożliwe, ściągnąłby na siebie gniew Kępińskiego, który często wychodził z roli przyjaciela i stawał się jego psychiatrą. Było to w gruncie rzeczy naturalne, ponieważ Kępiński naprawdę był psychiatrą, na dodatek dobrym. Zawsze wiedział, jak podejść Banacha, żeby zmusić go do zachowań, które były dla Konrada niekomfortowe, ale w dłuższej perspektywie miały przynieść mu korzyści.

– Nie możesz zamykać się w czterech ścianach jak jakiś pustelnik – tłumaczył Banachowi, kiedy ten oświadczył mu pewnego dnia, że chce pracować wyłącznie zdalnie. – Od czasu do czasu musisz mieć

kontakt z ludźmi, bo wyjdiesz z wprawy. Zdziczejesz społecznie i zawodowo. Zardzewiejesz.

– Zardzewieję? Co masz na myśli?

– Stracisz obycie w relacjach z ludźmi, wszyscy zaczną cię denerwować.

– Już mnie denerwują.

– Zaczną wkurzać cię bardziej. Stoczysz się na dno. Przestaniesz brać prysznic i całymi dniami będziesz pracował w piżamie. Na koniec przestaniesz nawet myć zęby.

– Przesadzasz.

– Jest osiemnasta, a ty masz na sobie piżamę. Brałeś dzisiaj prysznic?

– Nie.

– Myłeś dzisiaj zęby?

– A ty co, z Sanepidu? – zirytował się Banach.

Uważał, że przyjaciel przesadzał, jednak na wszelki wypadek utrzymał regularne dni pracy stacjonarnej, żeby stawiać się w przychodni, profesjonalny, zadbany i uprzejmy. Jego zachowanie może i było pozą, rodzajem maski, ale ta maska z czasem zaczęła całkiem nieźle pasować i nie uwierała tak bardzo, jak na początku. Kępiński miał rację, kontakty z ludźmi „oliwiły”.

Tego dnia po wejściu do przychodni jak zwykle skierował się w stronę rejestracji, żeby odebrać stamtąd klucz do swojego gabinetu.

Przy okienku stała kolejka pacjentów. Uśmiechnął się na przywitanie do Karoliny Żarskiej, rejestratorki, odwzajemniła uśmiech. Była mało atrakcyjną, za to niezwykle sympatyczną i inteligentną dziewczyną. Potrafiła wybrnąć z taktem i humorem z prawie każdej sytuacji konfliktowej, co dobrze wróżyło jej przyszłej karierze. Karolina studiowała medycynę, była na szóstym roku, a pracą w rejestracji dorabiała do stypendium. Konrad zastanawiał się czasem, czy nie spróbować umówić jej z Piotrem Kępińskim. Dzielili ich co prawda różnica wieku, ale nie taka znowu duża, żeby stanowiło to problem. Nie wiedział jednak jak poruszyć ten temat. Przecież nie mógł podejść do Karoliny i rzucić ni z tego ni z owego: „Hej, mam fajnego kolegę, z którym na pewno dobrze byś się dogadała, co powiesz na randkę?”. Znał Karolinę jedynie z przelotnych rozmów w socjalnym, gdzie zamieniali parę zdań między herbatą i kanapkami. Nawet nie wiedział, czy nie spotykała się już z kimś po pracy.

– Dzień dobry, chciałbym skorzystać z lekarza – oświadczył mężczyzna, który podszedł właśnie do okienka.

– Słucham? – Karolina spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Chciałbym skorzystać z lekarza. Dermatologa. To moje skierowanie.

– Aha. A może być pani doktor, czy gustuje pan w mężczyznach?

– Może być pani doktor – zgodził się pacjent.

– No dobrze. W takim razie mogę umówić pana do doktor Dereń.

– A do pani doktor to przychodzi się na godzinę czy na numerki?

Banach uśmiechnął się mimo woli, zabrał klucz i ruszył w stronę pracowni USG, przeciskając się przez tłum pacjentów czekających pod drzwiami lub próbujących odnaleźć właściwy gabinet. Przychodnia, w której pracował była wielkim medycznym molochem, ze wszystkimi tego wadami, ale też i zaletami.

Do pracowni USG przylegały dwa niewielkie pomieszczenia, które pierwotnie miały służyć za szatnie dla pacjentów. W użyciu była tylko jedna, z drugiej korzystali lekarze wykonujący badania, zostawiając tam swoje buty i kurtki. Dzięki temu Banach nie musiał przebierać się w głównej szatni dla personelu i unikał kontaktu z innymi pracownikami przychodni. Ogromny plus.

– Gdzie się wpycha, kolejka jest, ja byłam pierwsza – usłyszał, próbując otworzyć drzwi pracowni. Jak spod ziemi wyrosła przed nim zagniewana pacjentka.

– Pani go nie wpuszcza, to na pewno inkwizytor z firmy farmaceutycznej – włączyła się druga.

Pomieszczenie, w którym pracował, nie miało okna. Nie mogło mieć, to co robił wymagało ciemności.

Większość osób nie zniosłaby pracy w takich warunkach, zwłaszcza zimą. „Wychodzę do pracy, jest jeszcze ciemno, wracam do domu, jest już ciemno. Depresji można dostać, nie widząc słońca” – skarżyli się jego pacjenci. Przesadzali. On naprawdę nie widział słońca. Nie było tu nawet szyby, przez którą wpadałoby naturalne światło. Jednak Banachowi to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie, uwielbiał pracować w takich warunkach. Nikt nic nie widział, nikt nie zadawał niewygodnych pytań.

No, prawie nikt.

– Pan doktor nosi szkła kontaktowe? – spytała kiedyś pewna pacjentka, któraś z tych bardziej bezpośrednich.

– Bo ma pan bardzo fikuśne oczy.

Banach zacisnął usta. Kończył już pracę i liczył na spokojne popołudnie, a takie uwagi potrafiły wpędzić go w podły nastrój na wiele godzin.

– Nie – odpowiedział krótko. – Proszę poczekać na korytarzu. Jak skończę opis, zawołam panią. – Nie mógł nawet na nią patrzeć, kiedy wychodziła z gabinetu. Wścibskie, bezczelne babsko. Czasami zdarzały się takie, bezpośrednie i pozbawione hamulców, wypytujące o rzeczy, którymi nie powinny się interesować.

Konrad cierpiał z powodu *colobomy*, wady wrodzonej obu tęczówek, która polegała na ich rozszczepie i zniekształceniu. W przypadku Banacha nie wiązało się to na szczęście z upośledzeniem widzenia, jednak



wada była widoczna i zwracała powszechną uwagę. Był to jeden z powodów, dla których wybrał radiologię. Mógł pracować z domu lub w ciemnych pomieszczeniach i nie musiał wysłuchiwać głupich komentarzy, które wyprowadzały go z równowagi. Wścibskie, bezczelne babsko – powtórzył w myślach.

Na szczęście dzisiejszego dnia praca minęła mu spokojnie i bez poślizgu, tak jak lubił najbardziej i o trzy-nastej piętnaście wsiadł do samochodu. Miał do załatwienia parę ważnych spraw, późniejsze wyjście z przychodni mogło pokrzyżować mu plany.

Punktualnie o osiemnastej wkroczył do *Alchmielni*, pubu, w którym umówił się z Filipem Wilkiem. Był to browar produkujący własne piwo rzemieślnicze. Żeby dotrzeć na koniec sali musiał przejść obok chromowanych kadzi, które, jak dowiedział się od jednego z pacjentów, byłego pracownika lokalu, stały co prawda puste, za to dodawały temu miejscu „autentyczności”. Klimat tworzyły również zdjęcia wielkości plakatów, przedstawiające zbiory chmielu oraz roślinę we wszystkich stadiach rozwoju. Konrad nie lubił piwa, ale podobała mu się atmosfera, która tu panowała.

Kumpel siedział już przy stole z półpustym kuflem i kwaśną miną.

– Widzę, że zacząłeś beze mnie – przywitał go Banach.

– Musiałem. Mam plan, żeby się urżnąć, a obaj wiemy, że nie dotrzymasz mi kroku.

– Coś się stało? – spytał Banach, dając sygnał kelnerowi, żeby podszedł do stolika.

– Pamiętasz tę pacjentkę z tatuażem?

– Pacjentkę z tatuażem? – powtórzył Banach. Oczywiście że pamiętał. Starał się o niej nie myśleć, ale niespecjalnie mu to wychodziło. Ten cień na rentgenogramie nie dawał mu spokoju. – Coś z nią nie tak?

– Zniknęła.

– W sensie wypisała się na własną prośbę?

– W sensie wszelkie informacje na jej temat zniknęły ze szpitalnego systemu informatycznego. Zupełnie jakby nigdy jej u nas nie było.

– Nie rozumiem...

– To jest nas dwóch. Chciałem sprawdzić, co się z nią dalej stało. Zainteresował mnie ten tatuaż i to, co powiedziałaś. Odszukałem więc datę i godzinę, ale żadna z zarejestrowanych tamtego dnia pacjentek nie jest tą dziewczyną.

– Musiałeś się pomylić. Spróbuj wyszukać po nazwisku albo PESEL-u.

– Nie pamiętam nazwiska ani tym bardziej numeru PESEL. Za to dobrze pamiętam, kiedy była u nas w pracowni. Zresztą nie muszę polegać na pamięci, przecież robiłem zdjęcia jej tatuażu i ci wysyłałem. Mam w komórce datę i godzinę.

– Przy tylu pacjentach nietrudno o błąd. Może po prostu ją przeoczyłeś.

– Nic podobnego. Wielokrotnie przeglądałem pacjentów z tamtego dnia. Nawet mężczyzn, na wypadek, gdyby zasza pomyłka w oznaczeniu płci. Mówię ci, ona zniknęła.

– Przecież to niemożliwe.

– A jednak.

– Na pewno istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie.

– Na przykład jakie?

– No nie wiem, błąd systemu? Nie byłby to pierwszy *fuck up* ze strony informatyków. Być może trafiło na jakąś złą formatkę i zarejestrowało ją pod niewłaściwą datą...

– Zła formatka daty? Naprawdę?

– No co?

– Słuchaj – Filip był wyraźnie zirytowany – przejrzałem pacjentów z całego miesiąca...

– Miesiąca? Człowieku, czy ty naprawdę nie masz co robić?

– Nie przerywaj. Przejrzałem pacjentów z całego miesiąca. Wszystkich. Jej tam nie ma. Sprawdziłem, jaka ekipa była tamtego dnia na SOR-ze i popytałem wśród nich o tę dziewczynę. Pytałem lekarzy, pytałem pielęgniarki, nikt nic nie wie.

– Nie dziwię się. Przez nasz szpital przewijają się dziennie setki pacjentów.

– Na szczęście przynajmniej ty ją pamiętasz.

- Dlaczego na szczęście?
- Bo jesteś jedynym dowodem na to, że nie oszalałem. Chcę żebyś potwierdził moje słowa, kiedy zgłoszę to dyrektorowi szpitala.
- Masz zamiar iść z tym do dyrekcji?
- Oczywiście. Przecież to poważna sprawa. Dokumentacja medyczna nie ma prawa zniknąć bez śladu. Coś jest nie tak. A jeśli nie był to pierwszy raz? Co, jeśli mamy w systemie błąd, który kasuje dane? Albo jakiś wirus, trojan, nie wiem...
- Przecież ktoś już by się chyba zorientował?
- Niekoniecznie. Przy tym burdelu, jaki u nas panuje? Poza tym... może jednak się zorientował? Tylko próbuje zamieść sprawę pod dywan?
- W jakim celu miałby ją zamiatać? Sam powiedziałeś, że byłaby to gruba sprawa.
- Jeśli nie wiadomo o co chodzi.... Wiedziałeś, że nowa firma informatyczna, z którą dyrektor podpisał kontrakt, miała już wcześniej problemy z jakością? Może były poważniejsze niż wszyscy sądzili.
- Jeśli tak, to zrobienie z tego afery narobi ci problemów.
- Zaryzykuję. Nie mogę udawać, że nic się nie stało. Poza tym na razie to tylko jedna z teorii. Mogło też chodzić o wykasowanie dokumentacji tej jednej konkretnej dziewczyny...

– Niby dlaczego akurat jej?

– Była ofiarą wypadku, pamiętasz? Może sprawca jest na tyle wpływowy, że zlecił pozbycie się dowodów. Może to ktoś z rządu...

– Nonsens. Węszysz spisek, chociaż wyjaśnienie jest pewnie banalne. W środę będę w szpitalu, zostanę dłużej i pomogę ci znaleźć jej dane. Jestem pewien, że gdzieś są.

– Może – odparł nieprzekonany Filip. – Wątpię, ale mam nadzieję, że masz rację.

\* \* \*

Dochodziła pierwsza nad ranem, ale Konrad nie mógł zasnąć. Leżąc w łóżku myślał o tym, co powiedział mu Wilku. Historia zniknięcia dokumentacji medycznej brzmiała nieprawdopodobnie, ale jego kumpel nie należał do osób, które robią z igły widły. Może faktycznie dokumenty zaginęły, skoro taki pedant jak Filip nie mógł ich odnaleźć. Zresztą Banach od początku miał w sprawie tej dziewczyny złe przeczucie, choć z zupełnie z innych powodów....

Przez godzinę przewracał się z boku na bok, a kiedy stało się jasne, że nie uśnie, wstał i włączył komputer. Wyświetlił rentgenogram dziewczyny i ponownie wpatrzył się w obły kształt, którego nie powinno tam być. Zdjęcie było dowodem, że Wilku nie zwariował. Dowodem, o którego istnieniu nikt nie mógł się dowiedzieć.

Zapisywanie dokumentacji medycznej pacjentów na prywatnych nośnikach było nielegalne i mogło kosztować Banacha utratę pracy. Ale mogło też pomóc w odnalezieniu pacjentki w bazie szpitala. Konrad wziął do ręki długopis i spojrzał na dane widniejące na zdjęciu: Anna Kamińska, zamiast numeru PESEL data urodzenia. Być może pacjentka została przywieziona przez pogotowie, nie miała przy sobie dokumentu tożsamości i została przyjęta na SOR na podstawie oświadczenia, bo nie pamiętała swojego numeru PESEL, co nie było w szpitalu rzadkością. Banach zamyślił się. Popularne imię, popularne nazwisko. Czy były prawdziwe? Jeśli nie miała ubezpieczenia mogła skłamać, chcąc uniknąć płacenia za wykonane badania. W tej chwili nie było to jednak istotne. Miał jakieś imię i nazwisko. Mógł odnaleźć wszystkie Anny Kamińskie i dotrzeć do właściwej, oszczędzając sobie długich poszukiwań w bazie pacjentów konsultowanych tamtej doby na SOR-ze. Uspokojony wyłączył komputer i położył się z powrotem do łóżka.